

Pohovka Syn Kujaw.

ANNA POHOSKA

SYN KUJAW

(JAN KASPROWICZ)

KSIĄŻNICA-ATLAS — LWÓW-WARSZAWA

Najpiękniejsze książki dla młodzieży

BIBLIOTEKA ISKIEREK

1. Rogoszówna Z. Dziecinny dwór . . . 2,60
2. Haberkantówna W. Śmietnik . . . 1,—
3. Ossendowski F. A. Życie i przygody
małpki . . . 3,—
4. Vamba (L. Bertelli). Cesarz mrówek 3,—
5. Ossendowski F. A. Mali zwycięzcy . . 2,60
6. Górską H. O księciu Gotfrydzie . . . 2,60
7. Bornsteinowa J. i Czaplińska A. Przygo-
dy Tomka w krainie karłów afryk. 3,—
8. Ossendowski F. A. Miljoner Y. . . . 3,20

BIBLIOTEKA ISKIER

1. Dickens K. Maleńka Dorrit 2,90
2. Marcinowska J. W upalnym sereu
Wschodu 3,20
3. Fabre J. H. Szkodniki 3,—
4. Fabre J. H. Nasi sprzymierzeńcy . . 3,—
5. Ostrowska B. Bohaterski Miś 2,—
6. Czyżowski K. Szalony lotnik 1,80
7. Merwin B. Dwunastka. Dwanaście nowel 2,20
8. Scott W. Kwintyn Durward 3,60
10. Pisuliński A. Szlakiem słonia afryk. 3,20
11. Dickens K. Dawid Copperfield . . . 3,20
12. Scott W. Talizman 2,20
13. Sosnowski Z. Życie w akwarjum . . . 2,80
14. Urbanowska Z. Róża bez koleców. Cz. I 3,60
15. Urbanowska Z. Róża bez koleców. Cz. II 3,60
16. Allorge H. Walka światów 2,20
17. Czyżowski K. Jim żeglarz 2,40
18. Siemiradzki J. O czym mówią kamienie 2,40
19. Ossendowski F. Pod polską banderą . 3,80

ANNA POHOSKA

SYN KUJAW

(JAN KASPROWICZ)

INSTITUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

KSIĄŻNICA-ATLAS — LWÓW-WARSZAWA



7656

2553

Zakłady Graficzne Ski Akc. Książnica-Atlas we Lwowie

K IV

Jest nieopodal Gopła wieś, zwana Szymborze, należąca do klucza dawnych królewskich ziem inowrocławskich. Najstarsza to wieś na Kujawach. Mieszkają w niej rody włościańskie, od wieków osiadłe, rdzennie polskie, rasowo czyste, bez krzty przymieszki obcej krwi. Rody wolne, nie znające pańszczyzny, wrosłe w ziemię, rozumiejące ją i miłujące ponad wszystko.

Pośrodku wsi jest staw, wkoło:

*Za chatami krępy sad wiśniowy,
Wierzby siwe poschylały głowy
Przy stodołach, przy niskich obórkach.
Chaty rzędem.*

Ponad stawem — szkoła wielka, murowana i gościniec wiodący do Gopła, u którego brzegów stała chata kołodzieja Piasta, założyciela rodu wielkich królów polskich.

Przy owym gościńcu chata biała, murowana, dwojgiem okien spoglądała na drogę. Była to chata chłopca Piotra Kasprowicza i małżonki jego Józefy.

W roku 1860 urodził się w niej syn najstarszy, któremu na chrzcie dano imię Jan.

Znachorka wedle zwyczaju kredą go opisała i wróżby nad nim czyniła. Znaki przeróżne wielką niemowlęciu przyszłość znaczyły.

Chłopak urodził się silny i duży, ale niebawem chorować zaczął i mizernieć. Zapalenie płuc na niego przyszło i powróciło wkrótce. Nie pomagały baby, na lekach się znające. Rozkładał nad chłopcem bezradnie ręce doktor z pobliskiego Inowrocławia sprowadzony.

Sąsiadka i kumy uradziły, że chłopak się nie uchowa. Jedyna wedle nich była jeszcze rada: ofiarowanie chłopca do Matki Boskiej w Górze.

Postanowiła tedy Józefa Kasprowiczowa, nie zwlekając, do dalekiego kościoła iść. Otuliła chłopaka w chusty ciepłe i w drogę się zebrała.

Dzień był mglisty, wietrzny i zimny. Chaty i obórki jakby uchodziły we mgle. Chwasty, roszące na podwórkach, szarzały. Ciemniały walące się płoty.

Kasprowiczowa zatuliła chustę wokoło ramion, okryła nią szczelnie chore dziecko. Stała chwilę w progu chaty, słuchając wycia wichru, patrząc w mgły. Nie wiedziała, iść li w ta-

ką pogodę i wicherę ku dalekiemu kościołowi w Górze? Nieść li synaczka tak, jako postanowiła, czy zawrócić, ułożyć go w kołysce malowanej, blisko przypiecka, pierzynami otulić, a samej codziennej się pracy wziąć?

Rozsunęła chustę, na chorego synka spojrziała. Oczy szaro-zielone, zamglone, spojrzały na nią. Wydało się jej, jakby mgła i na nie położyła cień. Matka po czole dziecka przesunęła ręką. Gorące było i zwilgłe. Przesunęła dłoń po włosach chłopaka tak delikatnych i miękkich, że dziw wszystkim było, iż to chłopięce włosy.

— I anieli — pomyślała z dumą — piękniejszych włosów nie mają.

Chory chłopak przymknął oczy. Matka struchlała, wydało jej się bowiem, że zamknął je na zawsze. Pochyliła się nad dzieckiem. Oddychało. Wtedy kobieta zaczęła biec, by nie przyjść do Matki Chrystusowej za późno.

Droga do kościoła była daleka. W on dzień wietrzny, zimny i mglisty była pusta.

Józefa Kasprowiczowa szła szybko. Wicher szedł jakby z nią razem, rozwiewając szerokie fałdy jej czarnej spódnicy i jęcząc żałośnie.

Kobietę przejął wielki strach. Wydało jej się, że śmierć ją goni i chce jej zabrać syna.

Wycie wichru wydało jej się podobne do zawodzenia płaczek, o których podania mówiły, że za dawnych czasów pogańskich nad Gopłem na kurhanach zawodziły w czasie obrzędów pogrzebowych.

Kobieta przyśpieszyła kroku, biec zaczęła. Niebawem tchu jej brakło. Zmęczona zwolniła biegu. Dzieciak zaciężył jej. Przeraziła się. Pomyślała, że to śmierć może położyła na niem swą ciężką dłoń. Odsunęła znowu chustę, dziecko dyszało szybko, nierówno. Józefa Kasprowiczowa zaczęła biec znowu, chciała wejść w opłotki którejs chaty, odpocząć, bała się jednak, by śmierć jej nie dogoniła. Patrzyła więc na ginące we mgle chaty i szła znowu pustkowiem.

Niekiedy wydawało jej się, że goplańskie rusalki i topielice wyłaniają się z mgieł, od dzieciństwa bowiem, w wieczory zimowe, słuchała baśni i legend, w które wierzy lud okolicy. Lubiła słuchać szumu wichru i drzew, wydawało jej się, że przemawiają do niej głosami przedziwnych starych baśni. Lubiła w książkach starych czytywać opowieści o dawnych królach i dziejach. W ciężkim trudzie i pracy wzrosła, lecz miała w głębi swej duszy jej tylko znany świat wierzeń i marzeń.

Gdy urodził się jej synaczek, a znachorka wielką mu przepowiedziała przyszłość, pomyślała Józefa Kasprowiczowa, że synaczkowi jedynemu zwierzyć się będzie mogła. Opowie mu o wszystkich przedziwnych słowach i pieśniach, w jakie w jej duszy układają się szumy drzew i plusk fal. Pokaże mu przedziwne obrazy, jakie rysują cienie i światła drzew, traw i kwiatów. Myślała o tem, że gdy syn jej podrośnie, wyuczy go czytać, pośle potem do szkół, by się uczył, by poznał tajemnice, które przed nią zakryte były, była bowiem kobietą prostą, nie danem jej było, choć bardzo tego pragnęła, uczyć się. Codzienne troski, trud ciężki przypadł jej w udziale, jak każdej wiejskiej kobiecie.

I oto teraz synaczek, w którego wielkie przeznaczenie wierzyła, który miał być jedynym jej powiernikiem i dziedzicem tęsknoty ku wiedzy i rzeczom, przerastającym codzienne sprawy życia, chorzał i mógł zamrzeć.

Wicher zaczął cichnąć. Mgły się podnosiły. Tarcza słoneczna jęła przeświecać złotą kulą. Jęk wichru ustawał. Zdawało się Józefie Kasprowiczowej, że zwalnia biegu, że pozostawał za nią w tyle. Mgły rozsnuwały się, w ich oparach wyniosła Góra, królująca nad pła-

skim krajem, ukazała się. Ciemne kontury kościoła, korony drzew i krzyże cmentarne zaczęły się rysować, niewyraźne zrazu i szare, przybliżały się i ciemniały.

W gałęziach przydrożnych wierzb ozwały się ptaki, jakby witały powracające do życia chłopskie dziecię z Szymborza.

Józefa Kasprowiczowa dopadła kościelnych wrót. Wnętrze świątyni, modre, płasko sklepione, rozłożone rzeźbami wielkiego ołtarza i ubarwione płaszczyznami kolorowych chorągwi, rozwarło się przed nią i chorem jej dzieckiem.

Józefa Kasprowiczowa umaczała palce w chrzcielnicy, na swojej piersi i dziecka czołe uczyniła znak krzyża świętego. Uklękła i na kolanach doszła do ołtarza.

Matee Chrystusowej, znającej miłość macierzyńską i macierzyńskie cierpienia, ofiarowywała synaczka.

*

Nie otaczały uroczę dostatki
 Jego kolebki. W chacie, na wzór klatki,
 Gdzie kury, gęsi gnieźdzą się i ludzie,
 W powijakowe kładziono go szmatki.

.....

Bo skąd rodzicom, choć, jak wosk tak mięcky,
 Jakieś niezwykle robić tam zachody,
 I skąd się troszczyć zbyt o los dziecięcy,
 Kiedy od świtu
 ...Trzeba pracować.

.
 Wprawdzie swą chatę mieli, i w oborze
 Krowę Staruchę, i kawałek ziemi,
 Gdzie żyto w cichym szumi rozhowerze
 Lub drży pszenica kłosy złocistemi,
 ...Lecz, by utrzymać tę po ojcach schedę,
 Co kilka korcy dawała omłotu,
 By coś dorobić na starość, na biedę,
 ...Trzeba, dopóki starczy świeżość życia,
 I sił nie szczędzić, i nie szczędzić potu.

.
 Więc on, gdy własne obrobił zagony,
 Na co zbyt wiele nie poświęcał czasu,
 Szedł za dorobkiem w te i w owe strony:
 Rankiem, napiwszy żuru się lub kwasu,
 Dalej z siekierą do pańskiego lasu.
 Albo na morgi, skoro przyjdą żniwa,
 Z kosą dzień cały, jak wół bez popasu...
 ...To znów jesienią do bliskiej cukrowni,

...Matka bohatera,
Co jest prawdziwa i taka jest szczerą
Jak owa iskra, co się w sercu mieści,
I ona dzieli zwykłą dolę męża
Tak, jak przystało prostaczce kobiecie.

Gdy on na „pańskie” albo do fabryki,
I ona z łóżka, nim się zmrok rozwieje,
Drzazgi w kominku roznieca w płomyki,
W glinianym garnku trochę strawy grzeje,
Dla niego w drogę. A kiedy wysieje
Całą garść blasków na zagony świata
Olbrzymia zorza, wdzięcznym głosem pieje:
„Witaj, jutrzeńko” i kąty zamiata,
I w dzień tak swoją pracę jak w różaniec
wplata.

To trza naprawić mężowską koszulę,
To do jeziorka, by wyprać pieluchy,
Kaczętom „rzęsy” nawybierać w mule,
To znowu w pole po karm dla Staruchy:
Ściąć trochę trawy i narwać łopuchy,
Czasem w ogrodzie pokręcić się trzeba,
Tutaj coś skopać, tam zlać zagon suchy,
A nawet w żarnach, na bochenek chleba,
Garść szrutu umleć z żyta, które dały nieba.

Nieraz za orkę albo za furmanki
 Do gospodarza trza pójść na odrobki,
 Więc dziecko w płachtę, w rękę sierp i dzbanki,
 I tak odbierać, grabić, wiązać snopki,
 Że aż pot cieknie z czoła biednej chłopki.
 A Wojtuś w bróźnie płacze, aż z płachciska,
 Kręcąc się, gołe pokazuje stopki.
 Nie to... Dopadnie, w piąstkę kromkę wciska
 I znów powrósto w rękę, sierp albo grabiska.

Często do miasta, pod sąsiadki bokiem
 Pozostawiwszy na łasce dzieciaka,
 Z osełką masła lub marchwi tłomokiem,
 To z jajek mendlem, jeśli jaka taka
 Świeci pogoda, pędzi lotem ptaka,
 Często, gdy nagła potrzeb, nawet w słołę:
 Wszakże to życie jest jak płaszcz żebraka,
 Wszędzie ma dziury, daje wciąż robotę:
 To soli trza, to nici, sukna na kapotę.

Więc się nie dziwcie, że w tej, moi drodzy,
 Codziennych zajęć strasznej zawierusze,
 Nie mają czasu ludziska ubodzy,
 Ażeby chuchać na swych malców dusze.
 Nikt ich nie pieści, chyba słońko żywe...

.

Gdy „tata” umiał już, i „nana”,
I „papu” cienkim szczebiotać językiem,
Ojciec wieczorem brał go na kolana,
Huśtał i szeptał: „Jestem twym konikiem”,
A Wojtuś z śmiechem i dziecięcym krzykiem
Rwał się dogóry, chwycił go za szyję
I „wio”, „wio” śmigał nad głową biczykiem,
Aż mu oczęta, jasne jak lilije,
Znużenie wargi ciepłymi wypije.

Wówczas go matuś kładzie w kolebinę,
I nachyloną twarz do niego tuli,
I „śpij, mój złoty, skarby me jedyne,
Luli mój synku, mój najdroższy, luli”.
I tak się z sennym pieści, i tak czuli,
I tak mu nuci „O, mój mocny Boże”,
Aż w sen się skleją i oczy matuli,
Aż nad kołyską i ją trud przemoże,
By znów ją zbudzić, zanim jeszcze zorze
Zaślnią czerwone na lipcowem niebie...

Kiedy podrastał mój bohater mały,
Jużci mu przyszło zaprząć się do woza
Zwyczajnej pracy. Z poranku, ospały,
W pole, na sporym kawałku powroza
Prowadził krowę tam, gdzie szumi łoża,
Gdzie się tatarak we wądolcu chwieje,

Albo na lasu kraj, gdzie tomentoza
 Rozwitym kwiatem z zarośli się śmieje
 I rani drobne palce, że aż krew się leje.

To na przyrówki i na te bezdroża,
 Gdzie ot, w słoneczku tak się złącą mlecze,
 Jak ona w duszy myśl o szczęściu hoża,
 Z swą się „Staruchą” pomalutku wlecze.
 A kiedy słońce nazbyt w główkę piecze,
 Opuszcza bydlę, siada pod topolą
 Albo pod żytem, nim je kosa zsiecze,
 Kraśne paznogie obrywa kąkolom,
 Lub słucha, jak szum leci, gdzieś, za bożą wolą...

Nieraz z podziwu aż otwiera usta,
 Tak go ogarnia ciężki szelest kłosów,
 I okolica, przed chwileczką pusta,
 Dźwiękiem nieznanym zapełnia się głosów.
 Skąd one płyną? Czy z jasnych niebiosów,
 Na których białe pasą się owieczki,
 Ba, dużo bielsze, niż one ze wrzosów
 Młode jagniaci gospodarza Sieczki —
 Z pewnością mają wszystkie u karków
 dzwoneczki.

Kiedy pod wieczór wróci do chałupy,
 Krowę przywiąże na noc do koryta,

Gdy jej podłoży liści ze dwie kupy,
Tak się matki zaraz cwałem pyta:
„Przez co się dzieje, że wej, one żyta,
Jak zaczną szumieć — powiada — to z niemi
Niby jakowaś kapela ukryta
Gra coś na niebie, i na całej ziemi
Też buczy”. Tak jej mówi z oczy świecącemi...

A matuś na to uśmiechnie się szczerze
I ciekawemu tłumaczy chłopczynie,
Że to Pan Jezus otwarł złote dźwierze
Hen, tam u góry, w niebieskiej krainie,
Że to anioły tak grają, aż płynie
Dźwięk ten na ziemię, gwoli sławy Bożej
I gwoli dusz tych, co w jednej godzinie
Tysiącem śpieszą ku wieczystej zorzy.

Gdy główka spocznie na poduszce w kratki,
Gdy się pierzynką przykryje „cycową”,
Tak one dusze i aniołki matki
Naraz mu skrzydłem trzepocą nad głową,
Wszystkie bieluśkie, jakby je kto w nową
Przybrał koszulkę, niby w jego własną,
Którą mu z wolą kupiła ojcową
Matuś na targu ze wstążeczką kraśną,
Bo wyrósł z tej dawniejszej, już mu jest za
ciasną.

Wręcz mu się widzi, że izbę calušką
 Wypełnia ciche bożych duchów granie,
 Lecz jeszcze miłsze, niż wczoraj, gdy z „mušką”
 Tak się wsłuchiwał przy tym żytnim łanie,
 Toć na postronka nie zważa targanie,
 Gdy gdzieś w lucernę ciągnie go Starucha,
 Że wszystkie prośby tam nanie i łkanie —
 Tylko spokojnie tak słucha i słucha
 I sam się bodaj zmienia w niebieskiego ducha.

Nieraz na polu, gdy skulony marzy
 Na jakiej ścieżce, zarosłej krwawnikiem
 I oną trawą, co w wietrze się waży
 W tę i w tę stronę, upstrzona bezlikiem
 Jaskrów złocistych, albo nad strumykiem,
 Co przez sitowia sączy i rogoże,
 Gdy sobie siedzie, za „pasikonikiem”
 Goniąc oczyma, słodki sen go zmoże,
 A wtedy źle się dzieje, ratuj, Panie Boże!...

Wtedy postronek z ręki mu wypada,
 Bydlak niecnota pędzi w cudzą szkodę,
 Nie zważa na nic: z żyta kłos objada,
 Że aż mu rośnie brzuch w prawdziwą kłodę;
 Wtedy to sąsiad, jak to mówią, wodę
 Czuje na wargach ze złości i leci,
 Aby nauczyć niebożątka młode

Trochę rozumu — trzeba chować dzieci:
Tak bije, aż się w oczach Wojtkowi zaświeci.

Lecz chłopaczysko, zbudzony z marzenia
Tak bezlitośnie, mrugnie okiem prawem,
Coś się otrząśnie, poprawi odzienia
I łyzy obetrze podartym rękawem,
Spojrzy na żyto, co w świetle złotawem
Mieni się całe i za krówskiem dalej.

.
Zaś do kościoła, gdy przyjdzie niedziela,
Lub jakieś święto wioszczynę odświeży,
Wojtuś, jak iskra: uszczknie trochę ziela
Za kapelusik, w lusterku się zmierzy,
Czy mu kołnierzyk jako tako leży;
Podciągnie spodni, czuprynę przyglądzi,
Potartą masłem niesłone; z odzieży,
Sukmanki ciemnej, strzepnie kurz i sadzi,
Aż „starzy” się uśmiechną, strojnisiowi radzi.
I w domu Bożym zachować się umie...

.
Wróciwszy do dom, jużci zaraz duchem,
Ledwie że gębę po obiedzie zmyje,
Nakrywa plecy mateczynym fartuchem
I pas ojcowy przewiesza przez szyję,
I po dziaduniu, co dawno nie żyje,

Wziąwszy „Nowennę”, częstochowską księgę,
 Wręcz po „łacińsku” śpiewa litanije,
 Że snąć wyśpiewa całą płuc potęgę,
 Prawdziwie jak ksiądz, strojny w ornat i we
 wstęgę.

Tak Jan Kasprowicz, w poemacie: „Woj-
 ciech Skiba”, opisuje swoje dzieciństwo.

*

Pasał tedy mały pastuszek gęsi i krowinę
 „Staruchę”.

Całe dzieciństwo jego przeszło na bezpo-
 średniem obcowaniu z naturą i współżyciu
 z nią. Brat jego Antoś strugał fujarki z wierz-
 biny i grywał na nich piosenki rzewne i tęsk-
 ne. Niekiedy pastuszki śpiewały kujawiaki,
 które po rosie, po torfowiskach kujawskich,
 snuły się wraz z mgłami. Sam też Janek śpie-
 wać lubił. Gdy brat jego przestawał grać, Ja-
 nek zaczynał śpiewać:

*...Owieczki, owieczki,
 Czego beczyacie?
 Czego beczyacie?*

*Hej,
Bo pasterz
Siedzi w karczmie,
A my są w życie...*

Zrodziła się w jego sercu miłość „i do bydła, i do ptaszków, i do tych drzew, które szumem swych liści modlą się do Boga”, i miłość do ludzi. Owa miłość ludzi i rzeczy będzie w nim przez całą młodość, tak ciężką i ubogą, przez całe życie.

*

Widował mały pastuszek procesje, chodzące po torfowiskach, po łąkach, modlące się o to, by Bóg „dał spiekłym łanom rzeźwiący deszcz, nie zsyłał gradu, który zboże zsiecze, nim dojrzeje, by nie tracił dobytku w owcach i koniach, trzymał zdaleka pomory, które biją ostatnią krowę z obory, aby w wielkie urozyste święta nie było potrzeba dzieciom skąpić chleba, aby nas chronił od zarazy i dał tyle, byśmy nie potrzebowali prosić o jałmużnę na cztery deski trumny, i raczył nas zachować od nagłej i niespodziewanej śmierci”.

Sam, prowadzony za rękę przez matkę, chadzał w procesjach. Gdy wybuchła cholera,



Krzyż przydrożny na Kujawach.

procesje chodziły nocami, paląc pochodnie i świece, śpiewając pieśń: „Święty Boże, Święty Mocny”. Owe procesje, lud śpiewający i pieśń zapadły tak głęboko w duszę dziecka, że przetrwały lat dziesiątki i dały poezji polskiej jeden z najpiękniejszych hymnów: „Święty Boże”.

*

W poobiednich godzinach lub w niedzielne południa, przesiadywał Janek blisko szkoły. Poprzez otwarte okna białego domu płynęły pieśni piękne bardzo i dziwne. To pan na-

2*

uczyciel Dybalski grał na skrzypcach, a córka jego na fortepianie.

Szkoła w Szymborzu była przedziwna. To-nęła w wiśniowym sadzie i wieńcu najpiękniejszych kwiatów. Dla pastuszka stała się czemś pośredniem pomiędzy legendami matki a chatą rodzinną. Była czemś istniejącem, realnem, a jednak zgoła innem od wnętrza chaty i spraw codziennego życia.

Każdego ranka słyszał pastuszek, jak dzwonek zwoływał do szkoły, widział, jak z każdej niemal chaty wybiegały dzieci, niosąc tabliczki i książki. Na czarnych tabliczkach były przedziwne białe znaki.

Niektóre z tych znaków były podobne do źdźbeł traw, inne były koliste jak korony kwiatów, inne brzuchate, inne znów miały zakrzywione, haczykowate nosy.

Mały pastuszek podziwiał te tajemnicze znaki. Dowiadywał się, że były to litery. Niejeden chłopak, chcąc zaimponować malcowi swoją uczonością, z trudem sylabizował i odczytywał zdania z elementarza. Janek pochwytywał je w mig, zapamiętywał, przyszedłszy do domu, powtarzał je matce. Nasłuchując grania fujarek, śpiewu pastuszków i starych pieśni, płynących z okien szkoły, za-

czynął próbować na glebie kujawskiej pisać znaki, które miały odtwarzać widziane w elementarzach litery. Krowa zachodziła w szkodę, owieczki w żyto, a chłopaczek trudził się, przypominając sobie kształty liter i odtwarzając je na piasku. Uznali więc rodzice, że chłopca trzeba uczyć czytać.

*I matuś na to zaraz, jak na lato,
Do cnej roboty zabierze się skora;
Gdy przyjdzie z pola, poskromi się z chatą,
Zajrzy, czy w dobrym porządku obora.
Jak tam wypadnie: z południa, z wieczora,
Daje chłopczynie „alamentarz” w rękę
I nachylona, z głoskami się pora
I „a-a, be-be”, śpiewną pocznie mękę,
I Wojtuś „a-a, be-be” powtarza piosenkę.*

A potem, „gdy się skończyły matczyne zasoby”, Janek poszedł do szkoły. Miłujący kwiaty i stare pieśni nauczyciel Dybalski umiłowiał też butnego, czupurnego chłopaka.

Zdolności i pamięć małego Kasprowicza były wprost zdumiewające. Rysunki jego były znakomite. Mały, zaledwie umiejący pisać chłopaczek, układał wiersze.

Nauczyciel zrozumiał, że było mu dane roztoczyć pieczę nad pierwszemi krokami po

ścieżce wiedzy umysłu genialnego. Nie wiedział nauczyciel Dybalski, jaką drogą pójdzie syn kujawskiej ziemi, zrozumiał jednak, że chłopak nie może poprzestać na wiejskiej szkółce. Wiele o tem rozmawiał z innymi nauczycielami i z ojcem chłopca.

Rodzice i sami wiedzieli o tem, że syn ich „głowę ma uczoną”.

— Niechajże wyjdzie rodzinie na chlubę.

...dyć i ksiądz z Olchowy

Z biednego ponoć stanu, też-ci pasał krowy...

*

Pożegnał Janek piękną, białą, tonącą w kwiatkach szkołę w Szymborzu, nauczyciela Dybalskiego i rówieśników na jednej z nim siedzących wsi. Szedł do Inowrocławia, do gimnazjum, „pomiędzy panięta”. Ojciec:

Gdy się już tak stało,

Że iść miał Wojtuś pomiędzy uczebne,

Zaopatrzył się w groszy niemało,

— *Surdut potrzebny i korty potrzebne,*

— *Czasy-ć dzisiejsze, prawda! mało chlebne.*

.....

*Tylko z kupcami nie mógł przyjść do ładu,
Tu nie do gustu, tam znów trochę słono.*

.....
*Wojtuś wreszcie szedł w nauki,
Ojciec za rękę schwycił sam chłopczynę
I w gmach go powiódł, strojny w kręte łuki,
W gipsowe gzemsy, we figury sine.*

I chociaż tyle wydał ojciec pieniędzy i ustroił
synka jak od święta, przecie w gimnazjum:

*Śmiechem młodego przyjął towarzysza
Chór małych paniąt... Gdy się lekcje poczną,
Gdy grzmi profesor, izby była cisza,
Jeszcze się wszystko zwraca w ławkę boczną,
Gdzie siedział Wojtek... Zrobiło się mroczno
W oczach malcowi, i odrazu cały
Spłonął jak burak: toż rzeczą widoczną,
Że to się z niego te paniczki śmiały,
Aż świeczki im, jak krople, w onych „ślepkach”
drżały.*

*Cóż za dziwota? nowiutki mundurek
Jakoś niebardzo przylegał do ciątka;
Wisiał po bokach, naksztatt onych skórek,
Które Jan święty, co gromił pyszałka
Króla Heroda — zanim jeszcze śmiałka,
Ściał miecz katowski — wokół biodr swych
wieszał,*

A takie dzieci zawsze, jak zapałka,
 Łatwo się palą... Darmo się pocieszał
 Mój Wojtuś, że się skończy: śmiech się
 z gwarem mieszał.

Przytem podbite miał ćwieczkami buty,
 Bóg wie, na czyje przykrajane nogi,
 Stąd malcy szepczą: „To jak koń podkuty”,
 Ilekroć chłopak wszedł za szkolne progi.
 Ojczyśko myślał: „Dużyć kawał drogi,
 Więc trzeba „skorzni” niby nieladaco;
 I zima przyjdzie, mróz zawita w progi”.

.
 Do szkoły pewnie miał z pół mili
 Lub może więcej. Anoć Bartosz biedny,
 Więc na „pensyje” żadną się nie sili...
 Matka co rano — chłopak niewybredny
 I biedy jeszcze zażyje niejednej —
 Wetknie mu sera, ze trzy kromki chleba,
 Czasem słoninki smacznej, „nieobrzednej”,
 Jak mówią ludzie, i jak tego trzeba,
 Przeżegna go na drogę: „Biegaj, w imię nieba”.
 I Wojtuś śpieszy razem ze skowronkiem,
 Szarym śpiewakiem, co nad gniazdkiem nuci
 Z góry, w obłoczkach, razem z kraśnem
 słonkiem,
 Kiedy kraśniejszą jeszcze zorzę rzuci,

Razem z tą wierzbą, co się rankiem kłóci
Z dostęszalnymi ledwie szentą wiewu,

.....

I jemu nieraz poranek różowy,
Pełen melodji i szeptów tajemnych,
Rozwiąże usta do dziwnej rozmowy
Z szelestem trawy lub z dźwiękiem nadziemnych
Onych pieśniarzy...

Tak przejdzie lato... Zimą, kiedy spadną
Zaspy śnieżyste na uspięne łąny;
Gdy nade drogą topole poblądą
I żółtkną liczne szmaragdów dywany,
Gdy zmilknie ptasząt dźwięczny chór rozgrany,
Niby tysiączne na niebie kapele,
Ojciec go nieraz bierze na „barany”
I na pół drogi, co się śniegiem ściele,
Poniesie, „by też dziecku ulżyć matowiele”.
Czasem po szkole, gdy się niebo schmurzy,
Gdy się zbyt straszne sypią zawieruchy,
Trudno do domu wracać w takiej burzy —
Jeszczeby zbłądził w wieczór ciemny, głuchy —
Więc na probostwo, jak się z bożym sługą
Umówił ojciec. Tu między pastuchy,
W czeladnej, tyżkę tyknie jedną, drugą,
A potem do owczarni, przespać nockę długą...

.....



*Tak się nad książką mój bohater trudził,
Walcząc w izdebce z półmrokiem i chłodem:
Kiedy sen splotnie słodkim, lepkiem miodem
Na spracowane, wybiedzone kmiecie,*

.....
*Gdzieś na przypiecku wtedy chłopskie dziecię
Zasnuwa się, jak pająk, w swej nauki sieci,
Na stole kawał stłuczonej skorupy,
A w niej w okrasie barchanowy knotek
Miga, jak żywy...*

.....
*To gramatyka, to miła algebra,
Nieraz do późnej zajmują go nocy...*

*

Chodził tedy Janek do gimnazjum w Inowrocławiu.

Przebywać musiał każdego ranka drogę daleką i pustą. Niedaleko Szymborza chyliła się przy gościńcu figura świętego Marcina, rozcinającego płaszcz, by połową jego obdarzyć żebraka. Był to ów „krzyż, przy którym straszło”. Podanie mówiło, że ongiś, przed laty, zakopano pod figurą zrabowane skarby, które o północy dziwnym płonąły ogniem.

Latem, na drodze wznosiły się tumany ku-

rzu, wiosną droga rozmakala tak, że koła wozów zapadały po osie, jesienią włoczyły się po gościńcu gęste mgły, zimą pokrywały go śniegi kopne. Ojciec nie zawsze miał czas brać Janka „na barana”, i chłopak niejednokrotnie szedł sam. W mgliste ranki, w dnie zadymek bywało, że Janek zbłądził. Nieraz godzinami całemi szukał śladu właściwej drogi, do gimnazjum przychodził ze znacznem opóźnieniem i złe zato otrzymywał stopnie.

W dnie wielkich burz, zadymek, w dnie roztopów wiosennych nocował w mieście, w księżej owczarni. Nie zawsze miewał grosz na ogarek lub świeczkę, wyszukiwał więc sklepów, przed którymi na długich łańcuchach zwisały latarnie, oświetlające wejście. Młody Jan Kasprowicz stawał oparty o mur lub siedał na schodkach i w kręgu światła latarni uczył się lub czytał, nie zważając na zimno, wichurę i deszcze.

Miał dwa umiłowane miejsca, do których uciekał. W poobiedzia dni szkolnych, niekiedy nawet w ranki, zamiast do szkoły szedł do ruin kościoła Panny Marji w Inowrocławiu. Później, w lat wiele, w ciężkiej chwili życia, powróci wspomnieniami do owych ruin i napisze o nich:

„Wzrostem wśród twych ruin, starożytny kościele!

„W letnie poranki, pijany wschodem słońca i szumem zbóż, biegłem do ciebie i w cieniu twych szarych, polnych głązów, bujnym uwieńczonych chwastem, kołysałem mą duszę razem z trawami, kołyszącymi się na mogiłach.

„Grube, ciosane głowy bożków, z pogańskiej ponoć gontyny, martwo patrzące na innych, wiodły ze mną rozmowę...”

W niedziele i dnie świąteczne biegł nad Gopło, jezioro olbrzymie, owiane urokiem legend o rusalkach, pogańskich bożkach i topielicach, i podań związanych z zaraniem bytu historycznego Polski. Tu przecie, w Kruszwicy, stała chata wielkiego kołodzieja Piasta, tu wznosi się Mysia Wieża Popiela, tu wreszcie stoi katedra, w której spoczywają relikwie świętego Wojciecha.

Młody chłopak, błądząc w sitowiach, zarastających brzegi Gopła, słuchał, jak:

*Żałośnie wiatr wieje
Nad Gopłem szumią drzewa.*

Patrzył, jak:

*U Niebios stropu gwiazda zabłyśła,
Na skronie Mysiej Wieży tysiąc peret sieje.*

Płynąc łódką, marzył, że niosą ją Goplanki.

Często przebywał u Józefa Kościelskiego w Szarleju, ongiś warownym zamku, zburzonym przez Szwedów. Dumał o kurhanie, „mogile, przy której łonie spoczęły dawne ojców cmentarze”.

W wyobraźni młodego Jana Kasprowicza wyrastają nad brzegami jeziora prastare pogańskie grodziszcza. Fale jeziora i przybrzeżne sitowia szumią jakoweś bojowe pieśni. Mgły układają się w rotę wojowników, a dalekie światła chat w pogańskie znicze. W dzień pogodny po fali płynie głos dzwonów z Kruszewicy. Owo dzwonięcie budzi w duszy chłopaka dumania o losie Ojczyzny.

Poprzez jezioro Gopło przechodziła granica dwóch zaborczych państw — Prus i Rosji. „Goplanki”, w których istnienie młoty poeta wierzył, niosły nieraz jego łódkę w ów pas graniczny.

Jan Kasprowicz patrzył na słupy graniczne, white w samo serce Polski. Słuchając szumu sitowia i fal Gopła, patrząc ku dalekiej Kruszwicy, gniazdu Piastowemu, i ku słupom granicznym, rozmyślał:

*Czy nam klucz Boży
Żelaznych kajdan zamku nie otworzy...*

*

Minęły dawne czasy, gdy koledzy zukosa patrzyli na podkute buty i cudaczne odzienie kmieciowego syna z Szymborza. Nie uczył się on najlepiej, i sporo było w klasie lepszych od niego uczni, a przecie niepospolite jego zdolności i duma, z jaką postępował wobec paniąt, zyskały mu poważanie i przyjaźń kolegów. Wiedzieli też i o tem, że w zeszytcie wiersze pisuje, a zadania pisze jak nikt.

Lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku, na które przypadł okres nauki szkolnej Jana Kasprowicza, tak bliskie powstania styczniowego, były latami straszliwego ucisku zaborców. Nauka historii polskiej była wykreślona lub wykładana tendencyjnie; nauka języka polskiego odbywała się po niemiecku. Młó-

dzień szukała drogi do poznania dziejów ojczystych i literatury polskiej. W każdym niemal gimnazjum szlachetniejsze jednostki łączyły tajne organizacje. Powstawały kółka samokształcenia. W gimnazjum inowrocławskim „kółko Wincentego Pola” zakładał Witold Preyss. Pragnie wciągnąć do niego Jana Kasprowicza, „Kasprem” przez kolegów zwanego, i jemu jednemu z pierwszych zdradza swój zamiar.

„Kasper” niebardzo lubił Preyssa. Uważał go za paniczka, elegancika i niezbyt wierzył w to, że Preyss poprowadzi dobrze kółko. Przystąpił jednak do kółka i chodził na zebrania. Schodzili się chłopcy w domu Preyssa. Dom ten stał blisko rynku i szkoły, miał dwa wejścia, jedno od ulicy, drugie od bocznej uliczki. Obrady toczyły się w pokoiku na stryszku, którego okna wychodziły na dachy sąsiednich domów. Wkrótce jednak chłopcy przekonali się, że tak dyrektor, jak profesorowie i koledzy Niemcy powzięli jakieś podejrzenie, że szpiegują uczni Polaków. Ustanowili tedy kolejną straż przed domem Preyssów.

Pewnego wieczoru, okna białego, piętrowego domu były szczelnie zasłonięte. Ulica była

pusta. Wieczór już zaszedł, wczesny, zimowy, i ludzie niemal nie wychodzili z domów.

Na rogu uliczki, w dobrym oddaleniu od białego domu, stał młody chłopak, silny, krępy, czupurny. Wsunęty we framugę bramy, bystro spozierał w uliczkę.

Od czasu do czasu w uliczce zjawiał się młody chłopak, szedł śpiesznie, śmiało i zniknął w bramie domu Preyssów.

Po dobrej chwili, stojący na straży chłopak pomyślał, że wszyscy już przeszli, i że teraz kolej na niego. Miał już zejść z placówki, gdy wtem na progu szkoły zamajaczyła jakaś postać.

Chłopak spojrział.

— Mentzel... — przebiegło przez jego myśl.

Przechodzień zbliżał się wolno, rozglądając się wokoło.

Chłopak wypuścił z rąk książkę. Kartki rozsypały się. Chłopak schylił się i powoli zbierać je zaczął.

Cień się zbliżał.

Chłopak powtórzył:

— Mentzel!

Poznał już bowiem z całą pewnością dyrektora gimnazjum. Rzucił trwożne spojrzenie na biały dom. Ale kamieniczka była niemal

ciemna. Wyglądała tak cicho i spokojnie, że tylko wtajemniczony człek mógł się domyśleć tego, że odbywa się w niej tajne zebranie.

Chłopak uspokoił się i nabrał pewności siebie. Nie należał zresztą do tchórzów ani magajów. Ród jego sływał zdawien dawna z tego, że butny był, sprzeczki ani zwady nie szukał, lecz z drogi ustępować nie lubił i niebezpieczeństwu w oczy patrzył śmiało. Skoro na „Kaspra” przypadło trzymanie straży, to nie tylko się Niemca nie ulęknie, ale jeszcze porozmawia z nim i wywiedzie go w pole.

Dyrektor zrównał się z chłopakiem, zatrzymał się i przypatrzył mu się pilnie.

— Johann Kasprowicz? — zapytał.

„Kasper” wyprostował się.

Udał zdziwienie, ręką do czapki sięgnął, ukłonił się dyrektorowi.

— Co tu robisz? — zapytał Niemiec.

— Książka mi z ręki wypadła, kartki się rozsypały, więc je zbieram.

— Pokaż.

Dyrektor podejrzewał, że książka może być z tych, na które profesorowie Niemcy niechętnem patrzyli okiem.

Kasprowicz powiedział:

— To matematyka. Pożyczyłem ją od Preyssa.

Chłopak wskazał na biały dom.

Osądził, że tak będzie najlepiej, gdy sam zwróci uwagę na dom, w którym odbywało się zebranie, i tym sposobem rozwieje podejrzenia dyrektora.

Dyrektor wziął do rąk książkę.

Istotnie była to matematyka.

— Nie lubisz przecie tego przedmiotu — powiedział dyrektor.

— Ale muszę się go uczyć — odpowiedział Kasprowicz.

— Dlaczego się tak późno włączysz po ulicy? — pytał dalej dyrektor.

— Musiałem przecież poczekać, aż się tamten nauczy i pożycz mi książki.

— Do domu wracasz? — zapytał dyrektor.

— Tak — odpowiedział Kasprowicz.

Mówił zresztą prawdę, książkę rzeczywiście pożyczył od kolegi, a teraz postanowił do domu powrócić.

— Idziesz na wieś? — pytał znowu dyrektor.

Oddawna podejrzewał chłopców o to, że zbierają się na narady, na wspólne czytania, że uczą się potajemnie dziejów swojego na-

rodu i czytają wspólnie książki. Spotkawszy chłopaka na ulicy, osądził, że znalazł jakąś ścieżkę, wiodącą go do tajemnicy. Miał nawet ochotę wypytać chłopca, wydobyć z niego jakieś wiadomości, ale, spojrzawszy w marsową, dzielną twarz ucznia, zrozumiał, że nie dowie się od niego niczego, że jest to jeden z tych, co nie zdradzą powierzonej im tajemnicy. Patrzył w oczy chłopaka. „Kasper” nie tylko nie spuszczał swoich źrenic, ale patrzył śmiało.

Nie czynił przecie nic zdrożnego, ukrywając tajemnicę przed wrogim, pruskim nauczycielem, w duszy swojej był czysty, postępował po drodze honoru.

Mentzel nie dawał jednak za wygraną. Stał jeszcze chwilę i tak, ażeby coś powiedzieć, zapytał:

— Do Szymborza idziesz?

— Nie — odpowiedział uczeń — w mieście dziś nocuję.

Mentzel nie pytał więcej; może pewnoś siebie chłopaka rozwiłała podejrzenia Niemca. Odszedł.

Chłopak chwilę jeszcze zbierał kartki rozsypanej książki. Potem i on zawrócił. Nie spoznał nawet na dom, do którego tak bardzo

pragnął wejść. Wiedział dobrze, że pójść tam nie może. Mentzel, być może, ukryty we framudze którejś bramy, śledził go. Może któryś z kolegów Niemców posłyszał rozmowę i patrzy teraz, dokąd pójdzie „Kasper”.

A na posiedzeniu miały być takie ciekawe rzeczy! Preyss i Wegner dostali nowe książki. Czytać je mieli wspólnie i dzielić się wrażeniami.

Kasper szedł smutnie do domu. Na progu raz jeszcze spojrzął w stronę dalekiego domu Preyssa. Wydało mu się, że cień jakiś skrył się w pobliski opłotek. Napewno ktoś go szpiegował. Przez chwilę miał zamiar zawrócić, pochwycić szpiega i, pięści nie żałując, oduczyc go niecnego szpiegowskiego rzemiosła. Pohamował się jednak. Bał się, że zaszkodzi Związkowi.

Przechodził właśnie obok sklepu. Pod szyldem, umocowana na długim łańcuchu, chwiała się latarnia. Świeca, płonąca we wnętrzu, oświecała jasnym kołem schody.

Jan Kasprowicz usiadł na schodkach, wydobyl z kieszeni małą, nieoprawną książeczkę, starannie owiniętą w papier.

Był to „Konrad Wallenrod”, książeczka widocznie wiele razy czytana, towarzyszka nie-

odłączna i bardzo umiłowana. Liczne w niej były zakreślenia.

I teraz, siedząc na schodkach sklepiku, „Kasper” rozmyślać zaczął nad dziejami bohatera Litwy. Wziął kawałek papieru, ołówek i rysować zaczął głowę Konrada Wallenroda, taką, jaką ją sobie wymarzył w czasie godzin samotnych dumań.

Wiedział młody chłopak, że życie jego pójdzie drogami górnymi.

*Nic nie chciał dla siebie; tak za nic
Miał swoją osobę.*

Marzył o życiu bohatera, Gracha, Wilhelma Tella, Konrada Wallenroda. Mała księżeczka przebywała z nim długą drogę, ze wsi do szkoły z nim błądziła. Nocowała z nim w owezarni, w izdebce, „w półmroku i chłodzie”, bywała jego stałym towarzyszem. Była też początkiem jego wielkiej miłości dla książek i związkiem jego biblioteki.

*

Przeminęło sporo dni i tygodni. Dzień był mroźny i wietrzny. Wicher miótł śnieżne płaty i rzucał je w oczy przechodniów. Mróz za-

snuł szyby okien. Ulice miasteczka były puste. Tylko do domu Preyssów raz po raz ktoś wchodził. Strażnik nie miał dziś nic do roboty. Zadymka i wichura strzegły dziś lepiej od niego tajemnicy zebrania.

W pokoiku na stryszku zebrali się znowu stowarzyszeni chłopcy.

Przewodniczący czytał zaczął sprawozdanie.

„Sprawozdanie z rocznicy istnienia Towarzystwa „Wicenty Pol“ w Inowrocławiu.

„Od upadku Polski aż do naszych czasów są nasze dzieje ojezyste różnemi kłękami napiętnowane, lecz nigdy jeszcze położenie nasze nie było tak krytyczne jak dzisiaj. Przez wojny o niepodległość pokazaliśmy światu, że nie straciliśmy wiary w wolność. Teraz język nasz, jako zawadzający, ze szkół, ze wszystkich spraw publicznych usunięty został. Lecz możemy poza szkołą, w zaciszu domowem, uczyć się naszego języka i usilnie, z zamiłowaniem nad nim pracować, ażeby był od wpływu niemieczyzny obroniony.

Dlatego powinni się Polacy, a nadewszystko młodzieńcy, skupiać i zawiązywać między sobą kółka, w którychby się mogli między sobą kształcić. Powinien każdy dobrze znać swoją ojezystą mowę“.

Zkolei przemówił Kasper. Oddawna miał on zamiar rozszerzyć działalność kółka, młod-

szych uczni do nauki polskiego języka wciągnąć, a nadewszystko młodzież rzemieślniczą. Uważał bowiem, że uświadamiać trzeba było cały naród. Nieoparte o najszersze warstwy społeczeństwa, powstania zbrojne padały, pociągając za sobą coraz to gorsze prześladowania zaborców.

Mówił tedy Kasper, przedkładając plan „szkółki”.

Niechaj każdy uczeń zbierze kilku chłopaków rzemieślników, niechaj w świąteczne dni idzie z nimi w las, nad jezioro, gdzie szuwary strzegą tajemnicy, i niechaj czyta wraz z nimi, opowiada im dzieje ojcyste.

Niechaj ziarno wiedzy i uświadomienia narodowego pada w jak najszerszą glebę.

Słuchali słów chłopaka koledzy. Naradzać się nad niemi zaczęli. Obawiali się.

Kasper chciał wciągnąć młodszych chłopaków do pracy. Czyż dotrzymają oni tajemnicy? Czy nie zdradzą stowarzyszenia?

Wieczór przechodził, czas było do domów. Członkowie Towarzystwa „Wincenty Pol” rozchodzili się. Jeden z ostatnich wychodził Kasper. Zrozumiał, że koledzy nie pojęli go.

— Ciasne paniątka — pomyślał, ze złością

na oczy nasuwając czapkę. — Łacinniki, nie widzi im się rzemieślnicza brać. Sam wezmę się do roboty, założę szkółkę, i nie potrzeba mi niczyjej pomocy.

*

Na ulicy Małej Fryderykowskiej w Inowrocławiu, w mieszkaniu niedużem, które znajomi odstąpili Kasprowi na szkółkę, oczekiwał Kasper swoich słuchaczy. Schodzili się, przybiegając wprost od pracy. Tyle tylko, że umyli spracowane, do kowadła, kielni i młota nawykłe ręce. Było ich dwunastu. U okna stało dwóch kolegów Kaspra — członków Towarzystwa „Wincenty Pol”. Przyszli, by się przypatrzeć Kasprowej szkółce.

Kasper rozpoczął lekcję. Wesoly, rumiany terminator kominiarski, który nie zdołał jeszcze dobrze zmyć sadzy z twarzy, opowiadał o tem, o czem słyszał na ostatniem zebraniu. O wiciach, jakie pograniczne grody, strzegące dróg wiodących w głąb puszczy lechickich, rozsyłały, gdy zauważyły zbrojny pochód Niemców.

Przepytawszy chłopaka, Kasper zaczął wykład. Słuchali go uczniowie z zapartym odde-

chem. Myśleli i mówili po polsku, ale nikt dotąd nie mówił im o Polsce, o jej dziejach. W ciągu tygodnia rachowali dni dzielące ich od godzin szkółki, powtarzali sobie i przypominali słowa Kaspra. Dziś Kasper mówił o wielkim budowniczym państwa polskiego, Bolesławie Chrobrym, prawnuku kołodzieja z nad Gopła. Dwaj koledzy słuchali Kaspra także, nigdy dotąd nie słyszeli tak pięknego wykładu. Wydawało im się, że widzą, jak wielki król uderza Szczerbcem o Złotą Bramę Kijowa, jak wbija słupy graniczne Polski, jak poprzez bezdroża, puszcze i bagna, w mrozie i wichurach, wiedzie rycerskie hufce zwycięskie ku morzu Bałtyckiemu; jak wreszcie gościńcem, wysłanym ponsowem suknem, odbywa wraz z cesarzem niemieckim Ottonem pielgrzymkę do Gniezna, do grobu apostoła Pomorza, św. Wojciecha.

Przeszłość wspaniała, zwycięska, idąca ku potędze, stawała przed oczyma chłopców, urodzonych w niewoli, i budziła w ich sercach pragnienie zdobycia Ojczyźnie niezależnego bytu państwowego.

Oczy Kaspra błyszczały, lica płonęły, patrzył wdal, w dni szczęścia i chwały swego narodu. Słowa jego stawały się natchnione,

układały się w improwizację. Zasłuchanych chłopaków przenosiły w kraje marzeń i wzniosłych dumań.

*

Był maj. Wieczór zapadał pogodny i cichy. W stronę Kościeleca szła gromadka chłopców. Była to „szkółka” Kaspra. Wyszli, każdy oddzielnie, z Inowrocławia i szli drózkami polnemi, by nie zwracać na siebie uwagi. W lesie złączyli się, szli już gromadą. Cienie drzew bladły, ptaki cichły, noc nadchodziła. Drzewa nabierały tajemniczych kształtów. Nadlatywał wiatr, las zaczynał szumieć. Wtedy młodszy chłopcy przyśpieszali kroku, by nie pozostać wtyle. Dróżka leśna zwiężała się, mrok zapadał coraz gęstszy. Idący przodem Kasper zwalniał kroku, obawiał się, że zatraci ślad dróżki i zbłądzi.

— Zaczekajmy, gdy księżyc wzejdzie, pójdziemy dalej — rzekł Kasper.

Stanęli.

Gwiazdy otwierały oczy, promień księżyca rozjaśnił niebo, szczyty drzew i leśną dróżkę. Wiatr ucichł. Stawało się widno, jak w dzień.

— Chodźmy — rzekł Kasper.

I przodem pośpieszył. W lesie była cisza. Słysząc było tylko odgłosy kroków, szept słumiony chłopców i szelest rozsuwanych gałęzi. Drzewa rozstąpiły się. Wydało się chłopcom, że srebrne jezioro zamajaczyło wdali.

— To tu — rzekł Kasper. — Jeszcze kilkadziesiąt kroków, i będziemy u celu wędrówki.

Wiatr zerwał się znowu. Nasunął obłoki, zasłonił księżyc, polana i las ciemniały.

— Zapalmy ogień — rzekł Kasper i usiadł w cieniu starego dębu.

Chłopcy zbierali gałęzie, ułożyli je, skrzesali ogień. Płomień rozniecił się szybko. Oświetlił stary, rozłożysty dąb.

— Być może — myślał Kasper — że przed wiekami pogańscy kapłani palili u tego dębu ogień ofiarny.

Kasper wstał. Zaczął mówić o dawnej świetności, o dniu wielkim, którego rocznicę święcili, o dniu 3-go Maja, który zrównał wszystkich obywateli państwa Polskiego wobec prawa i obowiązków.

Noc stawała się ciemna. Obłoki zasłoniły niebo, nikt nie myślał o boginkach lub wilkołakach. Wszyscy słuchali słów Kaspra. Ogniisko rzucało zmienne, ruchliwe światła i cienie na twarz Kaspra. Chłopcy patrzyli weń.

Jakże w tę noc wielkiej rocznicy wdzięczni mu byli zato, że otworzył przed nimi księgę dziejów narodu. Słowa Kaspra padały głęboko w ich dusze i rozniecały ogień miłości ojczyzny. A on stał, wpatrzony w las tonący w mrokach nocy. Wydało mu się, że w cieniach lasu widzi korowód wielkich duchów, twórców Konstytucji 3-go Maja, i słowa jego układać się zaczęły w strofy wierszy.

Godziny przechodziły. Niebo zaczęło szarzyć. Ognisko przygasło, kontury drzew wyodrębniać się poczęły z cieniów nocy.

— Świt — szepnął Kasper.

— Świt — powtórzyli zasłuchani chłopcy.

Dopiero teraz zauważyli, że noc się kończyła.

— Czas nam do domów wracać — szepnął Kasper.

— Czas.

Nie jeden chłopak wymknął się z domu bez pozwolenia majstra, bał się bowiem zdradzać tajemnicy. Zagasili szybko ognisko.

— W drogę! — zawołał Kasper.

Ruszyli z powrotem, szli szybko. Dróżka leśna stawała się z każdą chwilą jaśniejsza.

— Tak jak my — zaczął, idąc, mówić Kasper — zbierać się musieli spiskowcy, przygotowujący zbrojne powstania.

— Czas nam się rozłączyć — rzekł — bywajcie zdrowi.

Chłopczy szli do Inowrocławia drogami różnemi. Jedni łąkami, inni miedzami pól, inni gościńcem. Szli prędko, by przedtem, nim miasteczko się obudzi, dostać się do swych izdebek.

Kasper szedł powoli. Z nim razem szedł kolega jego Kaczmarek. Chłopak był chory i nie mógł iść prędko. Astma dokuczała mu bardzo.

— Usiądźmy pod drzewem — rzekł Kasper, widząc, że Kaczmarek idzie z wielkim trudem.

Usiedli. Kaczmarek wydobył z kieszeni zeszyt.

— Spisz zaraz to, coś mówił.

Kasper kręcił głową. Nie chciało mu się. Zmęczony był i śpiący. Ale Franek nalegał.

— Kasper, pisz, proszę cię, proszę na wszystko.

Kasper usiadł, roztworzył zeszyt, na pierwszej kartce zaczął pisać.

— Oprawię ten zeszyt pięknie bardzo — mówił Kaczmarek — od dziś będziesz wpisywał do niego wszystkie swoje wiersze. Gdy będziesz sławnym poetą, oddam ci je wszystkie.

Kasper uśmiechnął się.

— Sławnym poetą...

Kasper marzył, rysując, że będzie malarzem, niekiedy myślał, że będzie poetą.

Jutrzenka zaczęła złocić świat, wstawał dzień. Chory, blady chłopak podnosił z ziemi zapisany bruljon. Z nabożeństwem wielkiem chował go za pazuchę, był tak jak Kasper synem chłopca z Inowrocławia.

*

Na naukę języka polskiego w gimnazjum chodzili tylko uczniowie Polacy. Profesor zobowiązany był do wykładów po niemiecku. Dziwna to doprawdy rzecz, uczniowie Polacy mieli słuchać wykładów o swojej literaturze w języku niemieckim. Profesor Czaplicki, Polak, wykładał jednak w tajemnicy przed dyrektorem po polsku. Dziś miał odnieść wypracowania uczniów. Tematem było: „Jakie myśli powstają w nas na cmentarzu”.

Kasper nie napisał wypracowania. Oddał profesorowi wiersz na podobny temat i teraz oczekiwał z niepokojem, co też profesor powie.

Profesor wszedł. Oddawał zadania, robił uwagi. Na korytarzu rozległ się odgłos kroków przyspieszonych, ktoś widocznie się skradał.

— Dyrektor Mentzel albo profesor Quade — pomyśleli chłopcy.

Profesor Czaplicki zniżył głos, mówił niemal szeptem. Podeszedł do drzwi, kroki w korytarzu ucichły, tylko podłoga dziwnie zaskrzypiała.

— Also, Kaczmarek — rzekł głośno profesor — man muß mehr lesen, schöner schreiben.¹

I mówił już dalej po niemiecku tak długo, dopóki podłoga nie zaskrzypiała znowu, a na korytarzu nie rozległ się odgłos przytłumionych kroków. Profesor znowu zaczął mówić po polsku.

Wszystkie zadania były rozdane, pozostało już tylko wypracowanie Kaspra. Profesor Czaplicki stanął na katedrze. Zamyślił się, pochylił głowę. Serce Kaspra biło mocno.

Co powie mu profesor? Czy dobre były jego wiersze? Może powie, że posłał je do „Lecha”, lub „Gońca Wielkopolskiego”? Może zachęci go, by pisał dalej? Może powie chłopcu, że ma wielki talent?

Profesor jednak stał ciągle ze spuszczoną głową, jakby wahał się, wreszcie wzniósł gło-

¹ A więc, Kaczmarek, trzeba więcej czytać, ładniej pisać.

wę, zbiegł szybko z katedry, podszedł do Kaspra, położył przed nim w milczeniu wiersze i odszedł.

Kasper zerwał się z ławki. Stał cały w ponsach, spojrzał na wypracowanie, na profesora.

Cóż miało znaczyć dziwne postępowanie Czaplickiego? Czy wiersze były tak nie nie warte, że i słowa o nich rzec nie mógł? Dlaczegoż tak długo namyślał się? Gwałtowna natura Kaspra buntowała się. Wreszcie zawołał:

— Co to ma znaczyć, panie profesorze?

Profesor podszedł do Kaspra:

— Nie lataj, Jaśku, zbyt wysoko, trzymaj się raczej ziemi, możesz spaść i rozbić się.

Profesor mówił powoli, w jego głosie brzmiał smutek.

Kasper usiadł.

Oddawna już, słuchając szumu sitowia nad Gopłem, patrząc w jego fale, słuchając bicia dzwonów kościelnych, szumu drzew lub śpiewu ptaków, patrząc na kwiat róży czy niezabudki, na rozwijające się liście drzew, snuł zwrotki poezji. Kaczmarek zbierał je, kazał je spisywać i przechowywał je jak relikwie. Niekiedy nocą sam Kasper budził się i w ze-

szyciku wpisywał wiersze. I zdawało się młodemu Janowi Kasprowiczowi, że znalazł drogę swojego życia. I oto przed chwilą słowa profesora przekreśliły nadzieje i rojenia młodego chłopca.

Zegar szkolny wybił godzinę, lekcje były skończone.

Profesor wyszedł. Chłopcy zbierali się do domu, Kasper wstał także.

— Przyjdźcie do mnie wieczorem — zawołał do chłopców i wybiegł..

*

Wieczorem do pokoiku Kaspra schodzili się koledzy. W oknie paliła się świeczka. Był listopadowy, mglisty, chmurny dzień. Wicher bił w ściany domu, przedostawał się szparami okna do pokoiku i chwiał żółtym, nikłym płomieniem świecy. Na stoliku leżał stos kartek zapisanych wierszami. Kartki te były przedarte na czworo. Na wierzchu leżał arkusik papieru z napisem:

*Hic jacet Joan Kasprowicz, natus 1860
in Szymborze. R. I. P.²*

² Tu leży Jan Kasprowicz, urodzony roku 1860 w Szymborzu. Niech spoczywa w pokoju.

Kasper zawołał do kolegi Ulatowskiego:

— Weź świecę i podpal te papiery.

— Poco? — zawołał zdumiony kolega.

— To przecież mój nagrobek — odparł

Kasper.

Koledzy zaczęli wołać:

— Kasper, ależ nie możesz tego niszczyć!

Oni wierzyli w talent kolegi.

Kasper odpowiedział:

— Słyszeliście przecież, co powiedział Czaplicki.

— Ach, co tam Czaplicki!

— Spalcie, mówię wam — zawołał rozgniewany Kasper — albo ja sam spalę.

Ulatowski wyciągnął rękę, porwał „nagrobek” i schował go do kieszeni.

Drzwi otworzyły się.

Zadyszany, zmęczony i blady wbiegł Kaczmarek. Zobaczywszy świeczkę, domyślił się wszystkiego.

— Spaliliście wiersze! — zawołał z rozpaczą.

Ulatowski dał mu znak, że nie. Kaczmarek usiadł, nie mogąc tchu złapać. Po dobrej chwili zaczął mówić:

— Janku, profesor nie powiedział ci zresztą, że twoje wiersze są nic nie warte, ot gderał, jak stary i chory człowiek.

Ulatowski dodał:

— Posłuchaj mojej rady, poślij wiersze swoje do „Lecha” albo do „Gońca Wielkopolskiego”.

— Tak, tak! — zawołali koledzy — poślij, poślij koniecznie.

— A jeśli i tam odpowiedzą mi to, co Czapllicki?

— Nie odpowiedzą — szeptem rzekł Kaczmarek — zobaczysz.

Ulatowski dodał:

— Posłuchaj. Wybierzmy wiersze zaraz.

Ulatowski wydobyl z kieszeni „nagrobek”. Chłopy zaczęli przeglądać wiersze.

— Poślij „Świt wiosny”.

— Nie, lepiej „Dumkę”.

— Najlepiej „Gopło”.

— Nie, „Poranek”.

— Najlepiej cztery sonety: „Wiosna, lato, jesień, zima”.

Kasper wstał.

— Zostawcie mnie, ja sam wybiorę i poślę.

— Przyrzekasz nam?

— Przyrzekam.

— Nie spalisz ich?

— Nie.

Zniecierpliwiał się, chciał, żeby koledzy już sobie poszli. Chłopcy odchodzili, a w swojej izdebce przy świetle ogarka przepisywał Kasper starannie wiersz, który postanowił posłać do „Lecha”.

PORANEK.

*Noc już kona, już zrywa gwiaździsty wianek:
 Jak kwiecie ginie z wiatrem, niktą gwiazdy
 w górze...
 Znikły... Jedna na niebios błękitnym lazurze
 Rozwiała blask jutrzeńka — przeddniowy ka-
 ganek.*

*

W domu Preyssów odbywało się znowu zebranie kółka uczniowskiego „Wincenty Pol”. Kwestja była ważna i niezwykła. Oto profesor języka niemieckiego, słysząc o wierszach Kasprowicza, zażądał, by chłopak zaczął pisać po niemiecku. Kasper oburzył się, musiał uczyć się, ale nie chciał tworzyć w języku wrogów. Profesorowie jednak nalegali.

Kasper nie uczył się dobrze. Zbyt wiele czasu pochłaniało czytanie, samokształcenie, praca w „szkółce”, włóczęgi nad Gopłem i rojenia poetyckie.

Powodem złych stopni Kasprowicza było i to, że bardzo często się spóźniał. Nie dziw, wiemy, jaką długą musiał przebywać drogę do szkoły, niekiedy, gdy mgły zbyt silne lub zadymka zasłaniała drogę, błędził, i godzinami całemi krążył po polach, zanim odnalazł ślad drogi.

U profesorów Niemców miał niedobłą markę. Dyrektor i profesor Quade podejrzewali go ciągle o przynależność do tajnej organizacji konspiracyjnej. Dalsza odmowa Kaspra mogła pociągnąć za sobą wykluczenie go z gimnazjum. Napisał więc zamiast wypracowania poemat:

„Agamemnon's Ermordung und Rache des Orestes”.³

Profesorowie byli zachwyceni wierszem, ale teraz zażądali rzeczy, która nie godziła się, zdaniem Kaspra, z jego honorem. Zażądali, by wiersz swój wypowiedział na publicznym egzaminie. Dyrektor Mentzel zakazywał przecież mówić w szkole po polsku, a Kasprowicz miał pisać niemieckie wiersze i mówić je na egzaminie! Chłopak buntował się, łamał się

³ Zamordowanie Agamemnona i zemsta Orestesa.

sam z sobą. Jeżeli odmówi, wyrzucą go ze szkół. Był w „sekundzie”. Za rok miał zdawać maturę. Odmową swą narazi Kasper kolegów Polaków na nowe szykany i trudności, postanowił tedy sprawę oddać pod sąd Towarzystwa „Wincentego Pola”.

Radzili więc chłopcy. Sam Kasper nie pomyślał o tem, że przecież radzą nad jego losami. Że wygnany z gimnazjum, do którego szedł po drodze znoju i trudu, będzie musiał szukać jakiejś drogi życia, że zawiedzie nadzieje rodziców, którzy przecie, pracując ponad siły, zdobywali grosz na jego naukę, marząc, iż księdzem zostanie. Ale Kasper nie myślał o sobie. Myślał, jak w jego położeniu powinien postąpić Polak, by nie uchybić swemu własnemu poczuciu honoru.

Długo radzili chłopcy.

— A gdybym napisał przedmowę, że dotąd pisałem w języku ojczystym, a teraz piszę po niemiecku jedynie na rozkaz profesorów?

Chłopcy uznali, że to było jedyne wyjście.

*

Przedmowa nie podobała się profesorom. Szczególnie profesorowi Quade, który, nienawidząc wszystkiego co polskie, nienawidził

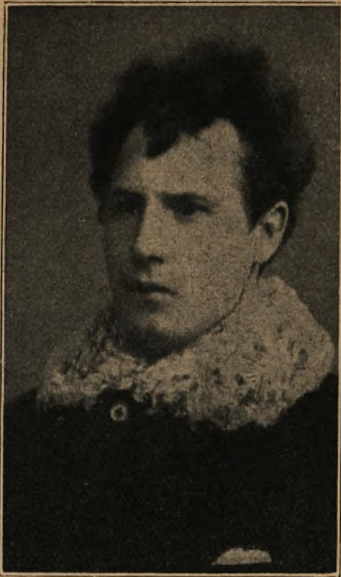
chłopaka, rokującego wielkie nadzieje. Dokucał mu też na każdym kroku. Zrazu były to przymawiania i docinki, w pierwszych miesiącach „primy”⁴ przyszło do gwałtownej wymiany zdań między profesorem a uczniem. Quade zażądał wykluczenia Kasprowicza z gimnazjum...

Dla Kasprowicza był to cios. Wiedział, jak ciężko było rodzicom utrzymywać go w szkole. Czy zdobędą się na to, by go posłać do Poznania? Ale rodzice wierzyli w swego syna. Wierzyła przedewszystkiem w niego matka i najstarsza siostra.

*

Odchodził Kasper w świat. Żegnał rodzinną chatę, umiłowane Gopło, kolegów. Szedł do Poznania. W Poznaniu na samym wstępie spotkał go zawód. Cofnięto go do „sekundy”; po kilku miesiącach i stąd go wygnano. Rozpoczął młody poeta włóczęgę, szedł od szkoły do szkoły. Tułał się po Śląsku, był w Opawie, w Raciborzu. Szła za nim wszędzie opinia profesorów Niemców z Inowrocławia, że jest szkodnikiem, konspiratorem, budzicielem polskiego ducha. Wszędzie, gdziekolwiek zagnał

⁴ Najwyższa klasa.



Jan Kasprowicz
w wieku młodzieńczym.

go los, Kasper rozpoczął swoją pracę. Lud śląski, gwałtownie niemczony, od wieków oderwany od macierzy, a przecie wierny jej, stał się drogim poecie. Rozpoczął znowu dawną swoją „szkółkę” — pracę nad młodzieżą rzemieślniczą. Dobi-
 jał już do brzegu, zasiadł w Raciborzu do matury, i oto już podczas składania egzaminu kazano mu

opuścić gimnazjum, grożąc mu, że jeśli tego nie uczyni, władze szkolne usuną go przez policję.

Jest coś wysoce dramatycznego w owem tułaniu się genialnego chłopaka, w owem wydaleniu go ze szkół, zato jedynie, że myślał i czuł po polsku. W wolnem państwie Kasprowicz byłby chlubą każdej szkoły, w czasach niewoli był z punktu widzenia profesorów germanizatorów jej zakałą.

Była jednak w tym synu ziemi żywiołowa moc, która dodawała mu sił w łamaniu przeciwności. Była też przedziwna pogoda, dobroć i miłość dla ludzi i świata. Powrócił do Poznania.

I wtedy, gdy wydawało się, że bramy wszystkich uczelni zamknęły się przed Janem Kasprowiczem, profesor Wituski, słynny matematyk, wyjednał Kasprowi przyjęcie do poznańskiej „priny”. I tu ostatecznie zdał Jan Kasprowicz maturę.

*

Kasprowicz zapisał się na uniwersytet w Lipsku, niebawem jednak przeniósł się do Wrocławia. O ile nie uczył się najlepiej w gimnazjum, to teraz pochłaniał z radością wiedzę. Wszedł znowu do tajnej organizacji i rozpoczął pracę nad ludem.

Uczył się i pracował znowu o chłodzie i głodzie. Matka dała mu na wyjeździe poć słoniny. Przez dobre dwa miesiące poeta żył ową słoniną. Gdy jej zabrakło, żywił się tylko chlebem. Gdy i na chleb nie stało grosza, przypominał sobie o skórce od słoniny, którą rzucił za piec. Zaczął gotować skórę, a gdy zmiekkła, żuł ją jak gumę. I oto, sam w tak wiel-

kiej biedzie, przymierając głodem, rozpoczął wśród ludu śląskiego pracę oświatową, budząc wiarę w bliską wolność Ojczyzny. Nie narzekał, nie skarżył się, miłował bliźnich.

Kasprowicz, źle widziany przez władze gimnazjalne, znajduje się na czarnej liście władz policyjnych Wrocławia. Wysłany na pogrzeb Kraszewskiego, jedzie do Małopolski. Poznaje Kraków i Lwów, tu odszukuje go policja pruska. Kasprowicz wraca do Wrocławia. Przyznaje się do winy, do tego, że agitował między ludem jak Polak-patrjota. Trybunał wrocławski skazuje go na 6 miesięcy więzienia za tę działalność.

W ciasnej, „stóp kilkanaście wzdłuż i wszerz stóp kilka” mierzącej celi, odsiaduje Kasprowicz karę. Jedyłą jego towarzyszką była umiłowana od lat poezja. Pisze sonety „Z więzienia”, powraca do swoich wspomnień dziecinnych, myśli o matce.

*O matko moja, o najdroższa w świecie,
Jakżem ja tobie wyszłte raz ostatni
Całował ręce, zanim do tej matni
Niedobrowolnej miałem pójść, twe dziecię.
Miałaś łzy w oku. Czuję, że cię gniecie
Troska o byt mój: jak się uwydatni*

*Ta przyszłość moja...
O matko moja, wierz mi...
Nic nie uczynię, abym nie śmiał oczy
Podnieść ku twoim oczom.*

*

Kończą się lata młode największego poety polskiego z czasów poromantycznych, z czasów ostatnich lat niewoli. Młodość jego była górna i chmurna taka, jakiem było życie całej ówczesnej młodzieży.

Syn chłopa, potomek ludzi wrosłych w ziemię, dziedzic Piastowych idei, był ostatnim piewcą narodu niewolnego, zwiastunem Polski odrodzonej, opartej o podwaliny serc wszystkich synów Ojczyzny.

Z UTWORÓW JANA KASPROWICZA

WIERSZYK DLA WNUCZKI EWUNI

Nasza mała Ewa,
Biega wkoło drzewa,
A jej dziaduś stary
Wdziewa okulary
I gazetę czyta,
I o Ewę pyta:
— Co tam robi Ewa?
— Biega wkoło drzewa.
A jej dziaduś stary,
Wdziewa okulary,
I gazetę czyta,
I o Ewę pyta.

GŁÓWKI DZIECIĘCE

(Urywki)

Wiszą u mnie na ścianie dwie główki dziecięce o wyrazistem, smutnem spojrzeniu.

Niema godziny, abyśmy z sobą milczącej nie prowadzili rozmowy.

Przekomarzamy się o drobnostki, o winogrona, o wstążkę, o to, czy małym dziewczętkom należy obcinać włosy, aby lepiej rosły, czy też od razu zaplatać je w warkocze, o płamę na sukience, o potrzebie wdziewania kaloszy na błoto i co lepsze, tort czy ciastko francuskie.

Główki, malowane *gris à gris*,¹ nabierają wówczas kolorów, dyskutują coraz to żywiej i, zniecierpliwione protestem, jakoby czekoladka i krem były zarówno „najlepsze”, twierdzą z wesołym uśmiechem w smutnych zazwyczaj oczach, że łatwo dam się przekonać, jeżeli w niedzielę urządzę „bal” z koleżankami.

Zaś w innych sprawach, gdy idzie o teatr lub koncert, albo o wycieczki w góry — koniecznie po klamrach i łańcuchach, zaczynają się gniewać i, podniósłszy palec do ust, grożą zupełnie na serjo:

— Niech tylko wyjdziemy zamaż, to nam już nikt tego nie zabroni!

Główki dziecięce, malowane *gris à gris*, opuściły szare *passe-partout*,² dostały żywych

¹ *gris à gris* — szarą barwą na szarem tle.

² *passe-partout* — karton, w który jak w ramę oprawia się zwykle fotografie.

kolorów i śmieją się smutnemi zazwyczaj oczami.

— Wiem już — rzecz jedna — skąd Wisła wypływa i jaki Popiel panował nad jeziorem. —



Janka i Hanka Kasprowiczówny, córki poety.

— A ja — dąsa się druga — znam opowieść o królowej Jadwidze i umiem już deklinować *columba timida*,³ *columbae timidae*, albo *hortus*,⁴ *horti*, *horto*.

— Wielka sztuka — odyma się tamta — ja od panny Annety nauczyłam się francuskiej piosenki — o! — i dzwonem zadzwoni srebrzystym:

³ *columba timida* — gołąb bojaźliwy.

⁴ *hortus* — ogród.

*Adieu, mon bon navire,
 Mes beaux jours sont passés — —
 Je te quitte — — — ⁵*

— Cicho, ty papużko! Ja będą miała gospodarstwo, gdy urosnę, i żyto i łąkę i kawał rzeki —

— A ja założę okulary na nos i będę przełożoną pensji — — —



INSTYTUT
 BADAŃ LITERACKICH PAN
 BIBLIOTEKA
 00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
 Tel. 26-68-63

⁵ Bywaj zdrów, mój dobry okręcie,
 Minęły moje piękne dni,
 Opuszczam cię...

| | |
|--|------|
| 20. Burdecki F. Podróże międzyplanetarne | 1,40 |
| 21. Verne J. Wyprawa w głąb Afryki | 3,20 |
| 22. Dąbrowa J. M. Telewizor Orkisz | 3,20 |
| 23. Ossendowski F. A. Wańko z Lisowa | 4,40 |
| 24. Verne J. Tajemniczy gród w pustyni | 3,20 |
| 25. Burdecki F. Budowa wszechświata | 2,— |
| 26. Szafer W. Yellowstone, kraj gorących źródeł i niedźwiedzi | 2,40 |
| 27. Fournier E. Cuda fizyki | 2,— |
| 28. Malec St. Harce elektronów | 2,— |
| 29. Ossendowski F. A. Zagończyk | 2,60 |
| 30. Bobrowska B. Janek w legjonach | 2,— |
| 31. Smolarski M. Przygody polskich po- dróżników | 2,40 |
| 32. Burdecki F. Tajemnice Marsa | 2,60 |
| 33. Meissner J. Licznik z czerwoną strzałką. Nowele lotnicze | 2,40 |
| 34. Lepecki M. B. Na Amazonce i we wschodnim Peru | 5,— |
| 35. Przybylski S. Goniec królewski | 2,20 |
| 36. Łoś S. Strażnica | 3,— |
| 37. Makarczyk J. Przez morza i dżungle | 4,— |
| 38 i 39. Jarosławski M. Między Eufratem a Tygrysem. T. I i II. Po | 4,— |
| 40. Verne J. Hector Servadac | 5,— |
| 41. Bennet J. Skowronek | 4,— |
| 42. Ossendowski F. A. Nie poddali się | — |
| 43. Šmejkal J. V. Sfora bieguna połudn. | 5,— |
| 44. Podoski J. Rycerze z K. O. P. | 3,— |
| 45. Barszczewski S. Tajemnica jeziora Bangweolo | 4,20 |
| 46. Burdecki F. Życie maszyn | — |
| 47. Delmont J. Przygody łowcy zwierząt egzotycznych | 4,80 |
| 48. — Mieszkańcy dżungli, kniei i stepu | 4,— |
| 49. Konarski K. Tajemnica zegara królew- skiego | 4,— |

NAJPOŻYTECZNIJSZE WYDAWNICTWO
DLA KAŻDEGO DOMU

E N C Y K L O P E D J A
ŚWIAT I ŻYCIE

Red. nac. Dr Z. Łempicki, prof. Uniw. Warsz.

Całość współczesnej wiedzy i nauki o świecie i życiu w pięciu obszernych, bogato ilustrowanych tomach, przedstawiona w przystępny, zwięzły i jasny sposób. — Nieocenione źródło informacyjne dla najróżnorodniejszych zagadnień współczesnego życia.

Ilustr. prospekty przesyła na żądanie bezpłatnie

I N S T Y T U T W Y D A W N I C Z Y
K S I A Ź N I C A - A T L A S
Lwów, Czarnieckiego 12. Warszawa, Nowy Świat 59

F

7656